DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań, 20 grudnia 1888 r. — Nr. 36.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedplacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Religijność
w narodzie polskim.

Umiejętność świecka, nauka mędrców i lodowatych rozumów świata wygnała Boga z historyi. Zaprzątnęła ona umysł ludzi wyłącznie polityką wewnętrzną i zewnętrzną, polityków dworów i stronnictw, zaprowadziła, zamiast opatrzności, konieczność; zamiast grozy moralnej, grozę konsekwencyi rozumowych; wytłomaczyła wszystko materyalistycznemi dowodami logiki ziemskiej, która, odbierając nieomylność wierze, zauzurpowała ją dla samej siebie. Pochłodły od niej serca i osłabły dłonie, bo przeciął się magnetyczny prąd ducha, łączący w jeden organizm rozum, uczucie i wolę; połowiczność dziwna objawiła się w każdym czynie i myśli ludzkiej, a wielkie natchnienia Boże, spływające na narody, marnieją odtąd często przez tę słabość i nieszczerość duchową, która nie umie już ugościć ich przy gorącem sercu, ująć wszystkiemi siłami swemi, przejąć niemi całego życia, bo ołowiany ciężar względów i mądrości świata przyciąga podlatujące skrzydła do ziemi.

Jedynie kierunek religijny otworzyć nam zdoła drogę zbawienia, drogę, która może połączyć wszystkich, bo do głębi porusza wszystkich; drogę, która może użytkować wszystkich, bo przewodnikami na niej nie są chwilowe nadzieje, ale nieśmiertelna cnota ufności w Boga; nie chwilowy zapał, okolicznościami wywołany, ale wiekuista miłość i czyny z tej miłości powstałe; drogę wreszcie, co łączy przeszłość z teraźniejszością, bo łączy nas pod jeden sztandar wiary przeszłości. Wśród okoliczności, w których żyjemy, cała nasza siła polega na sile moralnej, cała nasza nadzieja na indywidualnej dzielności i doskonałości jednostek. Kodex nasz obywatelski napisany jest w niebie; rozkazy jego wypełnić tylko mogą ludzie, wierzący w rząd niebios!

Naród nasz powstał w imie wiary z wielkiej słowiańskiej rzeszy. Wiara ocaliła go od najazdów germańskich; walki w imieniu wiary, walki katolickie dały mu stanowisko odrębne, powszechno-dziejowe. Bolesław Chrobry, ten wielki geniusz twórczy Polski, rubaszny i hulaszczy, jak poganin, dumny, jako Polak, wobec Niemców, wstawał pokornie, gdy apostołowie ewangelii przybywali do jego rycerskiej świetlicy, a gdy zgrzeszył krewkością i uniesieniem, kazał sobie czytać kanony, aby w ich duchu zadość uczynić. Sprzeniewierzeniem się myśli Chrobrego upadł Bolesław Śmiały; ujęciem jej na nowo stanął Krzywousty. W epoce podziałów cożby się było stało z Polską, rozdartą na kawały, najeżdżaną przez wszystkie wrogie żywioły sąsiedzkie, gdyby duch religijny, duch świętości i ascetyzmu nie był, jako przykład, zrównoważył przykładów niesłychanej niemoralności, gdyby rezygnacya chrześciańska nie była jej dała swego ducha nieprzełamanego niczem, ducha wytrwania wśród najgorszych stosunków; gdyby stolica apostolska nie była jej przyszła w pomoc radą i napominaniem, a pastorał, acz dłuższy czas na ogólnem stojący stanowisku, nie poszedł narodową drogą? Toż, gdy Władysław Łokietek począł pracę odrodzenia, błogosławieństwo papiezkie spoczęło na skroni tułacza, a stolica apostolska przez całe panowanie jego dopomagała mu w walce przeciw fałszywym krzyża obrońcom. W Jagiellońskich wiekach rośnie na podstawie wiary owa wielka polityka pojednania, polityka sprawiedliwości, która połączyła tyle ludów i krajów, bo ich nie podbijała, bo rządziła z zasad miłości i wyrozumienia potrzeb, bo uchroniła się nawet od nietolerancyi ówczesnej. Ta chrześciańskość, ta czysta katolickość stawia Jagiellonów w promienistej sprzeczności z schizmatyckim wschodem, stawia ich w tejże pochlebnej sprzeczności z zachodem nawet, krajami inkwizycyi i zaciętości wzajemnej. Reformacya, nieszczęśliwy objaw świata, jak każda negacya opanowała Polskę gwałtownie i gorączkowo, pozostawiła ciężkie skutki moralne, niekarność i wybujałość indywidualną; ale nie zapuściła korzeni w ducha narodu. Wszędzie na świecie obudziła ona zimny, materyalny rozum, politykę chwilowych interesów, prąd centralistyczny ze strony rządów, a rewolucyjny ze strony ludów; u nas obudziła swawolę i rozkiełznanie osobiste, owę niesłychaną rozmaitość prywatnych dążeń i namiętności, stąd ogólną nieufność i rozstrój społeczny. Jeśli co wówczas Polskę ocaliło, to pamięć i relikwie cnót dawnych, jeśli ją co ocaliło, to podrywy entuzyazmu w imie dawnych idei; to walki na kresach, walki za wiarę, to domowe cnoty, istniejące obok publicznego zepsucia.

Tak nietolerancya innowierców rozgościła się obok konsekwencyi innowierstwa, tak w ostatniem konaniu pojawili się ateusze w obozie starej tradycyi, w obozie Targowicy — a poczciwi i mądrzy poszli do obozu postępowców 3 maja. Libertynizm XVIII wieku podciął do reszty nogi narodowi, przewrócił wszystko, co go jeszcze ocalić mogło, odebrał mu wszystko, co go jeszcze zasłaniało, aby się zbudził w strasznym upadku z woli Bożej, aby powoli - dochodził znowu do zawiązania stosunków z temi potęgami, co go niegdyś postawiły wysoko, a które opuściwszy, upadł.

Naród został bez wszelkich środków, w bezprzykładnie złej sytuacyi. Polityczny jego testament wypowiedział wprawdzie wszystko, co go ocalić mogło, czyn pierwszy w duchu jego politycznego testamentu i pierwszy człowiek w jego duchu dali świadectwo Bogu i światu, że naród nie umarł w skutek choroby — ale było to tylko przechylenie się kryzys śmiertelnej, była to rekonwalescencya, której Bóg dla tego tak ciężkie postawił warunki, aby ją uczynić zupełną; był to podryw życia tytanicznego, który zdał się zdrowiem, bo był objawem najzdrowszych sił, ale sił niepowszechnych, a stąd nieskuteczny. Trzeba było długich jeszcze obłędów i reakcyi, trzeba było krwawych doświadczeń i nauk, żelaznego wytrwania i zebrania ducha, aby to zdrowie uczynić powszechnem, aby dokonać expiacyi win przeszłych, aby nową rozpocząć epokę. Trzeba było zakosztować wszelkiego owocu dobrego i złego, ponieść sowite cięgi doświadczeń krwawych, aby powoli dobijać do brzegu, uczuć pod sobą gruntowniejszą podstawę, odrobić złe stólecie i zapracować na przyszłość.

Wśród tego stanu expiacyi, bo po chrześciańsku nigdy inaczej naszego bytu pojmować nie powinniśmy, powrót do wiary przodków, powrót powszechny, serdeczny jest pierwszą naszą otuchą. Nie tak to dawno, jak płytkie a ślizkie wyobrażenia francuzkiej wolnomyślności, lub ciężko uczone a przytępiające ducha filozofizmy niemieckie szumiały i straszyły po męzkich głowach, ba! nawet między kobiety się zakradały w postaci emancypacyi itp. rzeczy. Młodzi ludzie chodzili z lornetkami po kościołach, do innych wcale modląc się ołtarzy, a panie z konwenansu tylko na elegancką mszę przychodziły. I dziś jeszcze widać czasami maroderów tej epoki; ale nikt ich nie podziwia, chyba oni siebie. Religijność w narodzie podniosła się, a dzięki tej religijności, myśl wzlata wyżej, serce czuje głębiej, sumienie głośniej się odzywa. W umiejętności, w publiczne i prywatne życie religijność wchodzi i wsiąka, jedni idą za nią, jako za duchem czasu, drudzy przejmują bodaj formy, inni zgłębiają uczuciem i myślą. Gdy zaś, zstępując z niebios, najdroższe sercu uczucia objęła, gdy się splotła z nadziejami i życzeniami naszemi, gdy czcigodne duchowieństwo nie zawahało się sprawę katolickiego narodu uczynić sprawą katolicyzmu: nie ma zapewne serca, coby od świeckich, ale świętych uczuć nie przeszło zwolna do rehabilitacyi wiary przodków, wiary, która była jedynem naszem zbawieniem i nadzieją, wiary, która nam była sztandarem i na zawsze nim pozostanie.

Chodzi tylko o to, aby wszelkich dołożyć starań o przeniesienie tego ducha religijnego w głębie serca, w życie indywidualne. Cnotami jednostek stoimy, bo nie tworzymy organizmu, bo nic tych cnót wyręczyć nie zdoła. Inne narody, mające swój byt polityczny, stać mogą formą swego bytu, pracować, jako kółka i sprężyny w wielkiej machinie, raz w ruch puszczonej, u nas każdy powinien stać się człowiekiem z jednego odlewu, poświęcenia i niewzruszonej cnoty człowiekiem Coż go nim zrobi, jeśli nie religia, ta królowa ducha, ta potężna władczyni każdej myśli i każdego drgnienia woli człowieczej, ta władczyni, trzymająca na wodzy namiętości i zdzierająca z nich maski obłudne, pod któremi się kryją? Zaprawdę, religia tylko zdoła stworzyć doskonałego człowieka, a więc i doskonałego obywatela. Nie zastąpi jej nauka, bo nauka nie wychodzi poza swój system, ani żaden wrodzony hart duszy, bo hart duszy i ku złemu zwrócić się może, ani żadna wielka i szlachetna ambicya, bo ambicya pragnie przede wszystkiem zaspokojenia siebie samej. Ona tylko potrafi zetrzeć ostrość i bezwględność każdej myśli, jeżeli wykracza poza prawa miłości; każdej ambicyi, jeśli wykracza poza powszechne dobro; miarkować każdy nawet entuzyazm, jeżeliby się dobremu sprzeciwił. Nade wszystko zaś ona jedna potrafi na nas włożyć jarzmo ciągłego poświęcenia, ciągłej, sumieniem nadzorowanej pracy.

Pamiętajmy zaś, że z drobnych, ciągłych, nieprzynoszących rozgłosu poświęceń złożony nasz zawód, że szczytną ofiarą — to cicha i ustronna praca. Nie trzeba jej szukać daleko, ona tuż na nas patrzy, nawija nam się pod rękę, prosi o spełnienie, ale trzeba ją ujrzeć, a do tego trzeba mieć oko religijnego ducha. Oto rodzina: wpływajmy na jej bogobojność i wykształcenie narodowe; oto domownicy: wpływajmy na rozwój ich pojęć i serca; oto sąsiedzi: zawrzejmy z nimi stosunek poufny, przyjacielski, doskonalmy ich i siebie; oto wioska, wobec naszego dworu rozłożona: działajmy na jej obywatelską przyszłość. Oto człowiek zbłąkany: przytulmy go do siebie i naprowadźmy na dobrą drogę; oto sprawa słuszna i sprawiedliwa: poprzejmy ją wszystkiemi siłami. Oszczędność, pobożność, prawość, męztwo chrześciańskie niech nam towarzyszą. Wtedy religijny prąd wejdzie w głąb' życia, i wtedy tylko niepłonne, bo niezależne od chwili, od wszelkich nadziei i iluzyi przyniesie owoce!

Przemawiam w tej sprawie do was szczególniej, kobiety-Polki, ojczystych naszych świętości i domowych ognisk Westalki, godne córy tych, co nam orędowały zwycięztwa i szczęście u Boga, i w ciszy domowej krzepkie wychowywały pokolenia. Wasze to przede wszystkiem posłannictwo uchwycić ten promień łaski Bożej, płynący z niebios, a zatrzymawszy go w domu, jako lampę ewangeliczną, przy jej świetle wychować nam pokolenie przyszłe, rozgrzewać pokolenie obecne. Czerpiąc natchnienie przed obrazem Matki Boskiej częstochowskiej, patronki naszej, w ciszy domowej strzeżcie zakonu poświęcenia, który nam się stanie zakonem przyszłości. Wiarą wielcy byliśmy za dni dawnych, wiara tylko dzisiaj podźwignąć nas zdoła.

Garbarz z Maskary

z języka francuzkiego przełożył

Witold L.

Było to w Paryżu, pomiędzy Elizejskiemi polami a Tuileryami, przy placu Concordyi, gdzie wody w dwóch czarnych basenach monotonnym swym szmerem zdawały się ludność stolicy chcieć do snu ukołysać.

W dniu, w którym opowiadanie się zaczyna, nawet i woda nie szemrała; mróz był tak wielki, że i w wodzie zamarzło życie. Cała prawie natura zamilkła; nawet wiatr milczał i milczały drzewa na polach Elizejskich, te drzewa zwykle tak gadatliwe, jak stare ciotki, przy kawie. Sekwana jeszcze cicho płynęła, nieujęta dotąd w lodowe okowy, lecz jakby przeczuciem blizkiej niewoli gnana, płynęła szybciej, niby uciekając, i huczała przeźliwie, jakoby biadając i wyrzekając na swoję niedolę. Smutno tu było — smutniej, niż zwykle.

Niedługa to historya, którą tu opowiem, lecz smutniejsza, niż niejedna tragedya, wiele smutniejsza, bo prawdziwa, codzienna! . . .

Oparty o mur Tuileryów stał Turek algierski w żółtym turbanie na śronem wieku przypruszonej głowie, owinięty w obszerny płaszcz, dobrze już wytarty. Malownicza to była postać ten starzec o siwych, jak śnieg, który wkoło niego leżał, włosach, i mógł prawie uchodzić za

alegoryą zimy. Nad nim, na murze, o który się opierał, przylepione było czerwone ogłoszenie, zapowiadające maskaradę „Valentino.“ Czyż to nie ironia życia? Bal i uciechy nad głową, podczas gdy umiera z głodu i marznie z zimna, a boleść mu serce rozdziera!... Twarz jego była żółtą, jak przystało na syna wschodu, którego lica całował płomienny Samun pystyni, i ta twarz zdawała się przypominać kwiat zasuszony, roślinę bez życia -- a gęstą była otoczona brodą. Dwoje czarnych oczu, w których się paliły blaski południowego słońca, były oznaką, że twarz ta żyje, a krew płynie w jej żyłach.

Czas dość smutnych wspomnień wypisał na czole jego otwartem, a los wyrył je na licach. Ręce założył na piersiach i wpatrzył się w cyple lodowe, zwieszające się, jak srebrna falbana, u brzegów basenów. Pogrążony w zadumie, marzył o cieplejszej swej ojczyźnie, o półksiężycach, lub raju Mahometa może. W oczach jego prawdziwie tureckich, pół niemych, pół palących, spała miłość słodka, a czuwał gorzki smutek.

Biedny Turek! pochodził z Algieru, a był garbarzem z Maskary. W ojczyźnie swojej umiał przyprawiać skóry miękkie, jak aksamit, a umiał je farbować, bo najpiękniejszą jaśniały purpurą, lub, jak złoto, się lśniły. Sztukę garbarską bardzo ceniono na wschodzie; to też szczęśliwie żył z żoną i córką, mieszkał w małym domku o płaskim dachu i, jak śnieg dzisiajszy, białych ścianach, które się jeszcze wydawały bielsze, bo niebo nad niemi było tak dziwnie niebieskie.

Żona, najdroższy skarb jego, była piękną, jak dzień słoneczny, a córka, jak poranek wiosenny. Żonie na imie było Feuda, a córce Fatima, a kochali się bardzo i byli bardzo szczęśliwi w wesołym i cudnym Algierze, na który słońce najjaśniejsze zseła promienie.

Lecz nadszedł dzień okropny! . . . wązkie uliczki Maskary napełniły się dymem palących się domów i meczetów, krzykiem niewiast i dzieci i szczękiem lśniącej broni nieprzyjacioł. Krew płynęła ulicami, a z płaskich dachów żółte płomienie buchały ku lazurowemu niebu, jakby ze skargą do Ałłacha.

Francya nowej żądała sławy i Francuzi zdobyli Maskarę. Na drugi dzień z miłego miasteczka pozostały tylko nagie, okopcone mury. Gdzieniegdzie jeszcze tlał ogień pod zawalonym minaretem, a psy wyły dziko na ulicach nad ciałami poległych. Słońce nawet, to śliczne słońce Algieru obłokiem zasłoniło sobie oczy na widok takiej zgrozy i tylu krwi rozlewu.

Smutniejszym jeszcze, niż inni, był biedny garbarz, któremu dzień ten jeden *wszystko* odebrał, prócz życia, którego teraz nie pragnął, bo i na co mu takie życie? Żona, najdroższa dlań istota na ziemi, zabita bagnetem najezdzcy, a córeczka, śliczna Fatima, pogrzebana w gruzach walących się meczetów. Życie najdroższych zabrał Ałłach, mienie chciwy żywioł płomienny! Biedny Turczyn! — więcej go przygniotło nieszczęście, niżby go walący się meczet mógł przygnieść. Jeden dzień, a z najszczęśliwszego stał się najnieszczęśliwszym. Wczoraj mienny, dziś żebrak samotny. Smutnie zwiesił głowę i jako fatalista mruknął: Ałłach, salim Ałłach! — lecz serce jego zranione krwawiło się, ciężar umarłego szczęścia bardzo mu ciężył.

Dobroduszny jakiś żołnierz francuzki, widząc go tak smutnym, zapytał o powód żalu. Żonę i dziecko zabito mi, a mienie spalono, odpowiedział ze łzą w oku Turek. Żony i dziecka oddać ci wprawdzie niepodobna, ale zburzony domek może ci rząd wynagrodzi, mniemał Francuz i radził mu pójść do naczelnika rządu w Algierze. Westchnął biedny Turek i powlókł się leniwie przez długie, suche ulice, na które słońce żar z nieba sypało. O! bo słońce nie może długo wytrzymać, żeby nie spojrzeć na ukochany Algier, nawet gdy on smutny i pusty. Lecz rząd francuzki ściągnął brwi na widok Turka i ostro odrzucił prośbę jego, mówiąc, że wiele miałby do czynienia, chcąc wszystkim wynagradzać zrządzone szkody. Turkowi łza zabłysła w oku i spadła na ziemię niedawno wolną, teraz jęczącą w niewoli, a anioł litości zaniósł ją przed tron króla królów. I zlitował się nad nim jeden z oficerów, młody jeszcze człowiek, dał mu nieco pieniędzy i radził jechać do Francyi, do Paryża, gdzieby szukał szczęścia i pracował na kawałek chleba.

Nimbus Paryża jest tak wielki, że promień jego przedarł się nawet przez morze w wązkie uliczki Maskary, a myśl o Paryżu rozjaśniła ponure cienie bólu i smutku w duszy biednego garbarza i zabłysła, jak ostatni sen szczęścia. Tak, do Paryża chciał jechać, do tego źródła wesela, uciech i rozkoszy, gdzie, jak mu mówiono, ginie smutek wszelki, a złoto na ulicach wyrasta.

Przybył też do Paryża, lecz wesele znalazł tam tylko na afiszach, zapowiadających maskarady, a złoto — złoto było wprawdzie na ulicach. . . . w wystawnych oknach jubilerów. Na ulicach rosły drzewa bezlistne, co na nagich gałęziach zimny szron dźwigały, i roiło się prawie od ludzi, lecz ludzi dziwnych, bez turbanów, kobiety bez jaszczyków, twarze ich blade, zmęczone, a w oczach, znudzonych rozkoszą, malowało się przesycenie, lub głód nieugaszony. I zdziwił się Turczyn i nie mógł pojąć, co jest tym ludziom; nic dotąd nie wiedział o bladej, potajemnej chorobie cywilizacyi. Strwożony uciekał pod ścianami pałaców od światła, od ludzi, hałasu świata i dopiero nad brzegiem Sekwany zwolnił kroku i przystanął na placu Concordyi przy dwóch basenach, obwieszonych cyplami lodu.

Tu cicho było; więc, skrzyżowawszy nogi, usiadł pod murem i oszołomiony hałasem wielkiego świata, nie mógł zebrać myśli, nie mógł sobie zdać sprawy, co się wokoło niego dzieje. Dwie łzy spadły mu na twarz żółtą i zginęły gdzieś w brodzie biednego fatalisty. Dobry fatalizm na strach i nadzieję, lecz w smutku niewiele pomaga. A tu do smutku przyłączył się jeszcze głód, wywołany widokiem i zapachem potraw bogaczy paryzkich.

Luty był dopiero; w lutym zimno w Paryżu, a mgły gęste tamują drogę ciepłu słonecznemu. Mimo to czuć już jakiś zapach nadchodzącej wiosny. Zapach ten unosi się z koszyków biednych dziewcząt, które fiołki sprzedają zużytym Paryżanom. Dziwnem jest, jaką uciechę wszystkiem znudzeni Francuzi mają na widok niewinnych, małych fiołków. Dla tego też w Paryżu zawsze masz fiołki, mimo śniegu i mrozu; najwięcej w lutym. Bóg jedyny wie, jakiem złudzeniem wabią te delikatne kwiatki na zimnem powietrzu, bo już w zimie kwitną i pachną.

Pomiędzy wielką liczbą ładnych i zalotnych, dobrze i źle ubranych, wesołych i od zimna drżących dziewcząt, które wonny swój towar na sprzedaż wyniosły, znajdowało się też małe dziewczątko z Nanterre, o ciemnych, orzechowych włosach, biedą znękanej twarzyczce i oczach fiołkowych, jak kwiatki, które sprzedawała. Matka tej małej sprzedawała zwykle pierniki przy wnijściu do parku St. Cloud, a ojciec pracował u ogrodnika. Lecz w tej porze nikt nie kupował pierników, a biedny ogrodnik cierpiał na romatyzm i nie mógł pracować. Cała rodzina żyła z sprzedanych fiołków, a raczej *usiłowała* żyć, bo życiem nie można właściwie nazwać pasowania się z głodową śmiercią. Ojciec, stękając, leżał na łóżku, matka, wynędzniała z głodu, przykucnęła przy zimnym kominie obojętna na wszystko, jak gdyby w śmierci oczekując wybawienia. Mała dziewczynka wyszła z koszykiem fiołków. Cienkie jej trzewiczki podarły się od ciągłego biegania; zimno jej było w małe nóżki i trzęsła się, jak we febrze. Niebo było blade i szare od obłoków śniegowych; słońce nie świeciło, a wody Sekwany lśniły się.

— Violettes, Mesdames! violettes, wołała, strojąc, jak tylko mogła, wesołą minkę, wiedząc dobrze, że smutku ludzie nie lubią i schodzą mu z drogi, bo. . . . zaraźliwy. Lecz nikt nie słuchał jej wołania, nikt nie kupił. Tak zachęcając do kupna, zaszła na plac Concordyi. Tam stał biedny Turek, garbarz z Maskary, lecz ten miał większe szczęście od niej. Od przechodzącego jakiegoś pana do-

stał pudełko daktyli. Panu może zawadzało, dał je biednemu. Probował je sprzedać Turek i chodząc po ulicy wołał lichą francuzczyzną: daktyle, prawdziwe wschodnie daktyle. Biedny Turek! . . . jakież daktyle być miały? Sprzedał sześć, ośm, lecz więcej nikt nie chciał kupić. Mój Boże! ludzie mieli tyle lepszego, droższego do kupowania!

Na placu Concordyi, przy czarnych basenach, spotkały się nędza południa z nędzą północy i zawarły przymierze i przyjaźń. Słowa nie rzekli do siebie, tylko stali razem oparci o mur Tuileryów, przez który zwieszały się nagie gałęzie drzew i ponad który wystawały białe posągi mitologiczne, upiększające ogród.

Nikt nie miał miłosierdzia nad tym dwojgiem ludzi.

— Daktyle! daktyle! — wołał garbarz. — Violettes, violettes! wołała dziewczynka z Nanterre. Nikt ich nie słyszał. Głos Turka ochrypł, a głosik dziecka w płacz się zamienił. Jakaś pani, ubrana w futro, przeszła około nich i spojrzała na fiołki. — Zwiędłe, odpowiedziała zimno, i poszła dalej. Przechodził jakiś wyrobnik. — Tiens, ma pauvre petite, zawołał, co kosztuje bukiecik? — Jeden *sou* — odpowiedziała dzieweczka i zdmuchnęła śnieg z ładnych kwiatków, które bogata pani zwiędłemi nazwała. Podała je ze strachem i łzą w oku. On dał jej *sou*, popatrzył miłe i dobre wtrącił jeszcze słówko. Był to jedyny *sou*, który dziś zarobiła.

Wieczor zaszedł, a biedna kwiaciareczka zsiniała od zimna i głos odmówił jej posłuszeństwa. Widząc to Turek, zdjął swój turban z głowy, rozwinął go i okrył nim szczupłe plecy dziewczynki, a potem, podając jej swe daktyle, spytał łagodnie: — Chcesz za te fiołki moje daktyle?

Dziewczynka skłoniła tylko głowę i spojrzała wdzięcznie na swego opiekuna. Głodną była, nic dziś jeszcze nie jadła. On dziś wprawdzie też jeszcze nic nie jadł, lecz był mężczyzną, a ona delikatnem dzieckiem, jak jego mała Fatima; i podczas gdy dziewczynka jadła daktyle, on myślał o ukochanych zmarłych. Lecz daktyle, chociaż smaczne, nie rozgrzały małej i niewiele ją posiliły; zmęczona usiadła na ziemi i oparta — zasnęła.

Słońce dawno już zaszło, noc pokryła swym czarnym płaszczem miłosierdzie, grzechy i smutek ludzi. Zimno stawało się coraz dokuczliwszem. Turek zsiniały usiadł pod czerwonym afiszem obok dziewczynki i pogłaskawszy ją chudą ręką po twarzy, uśmiechnął się po raz ostatni.

Okrył ją swym starym płaszczem i marząc o Algierze i Maskarze wkońcu sam zasnął.

I jeszcze zimniej stało się na dworze — ciemna noc zapadła. Wszystko milczało, nawet Sekwana zamilkła. Gdy na drugi dzień słońce Paryża otworzyło oczy, ujrzało pod czerwonym afiszem maskarady w Valentino garbarza z Maskary i dziewczynkę z Nanterry:

Oboje zasnęli na śniegu pościeli
I śpią snem wiecznym po dziś dzień.

Jakie to szczęście i korzyść
mieć zgodną, dobrą żonę.

Przez

M. Wellmer.

Jan i Małgorzata pobrali się z miłości i żyli zadowoleni na folwarku, położonym pod lasem „nietkniętym kulturą“ obok wielkiego gościńca. Małżeństwo ich było w całem znaczeniu wyrazu — szczęśliwem. Oboje zdrowi, poczciwi tworzyli „jedno serce i jednę duszę.“ Jeżeli Jan rzekł! „To białe“ — Małgorzata odpowiadała niewątpliwie: — „A tak, śnieżno-białe;“ a jeśli ona uznała coś czarnem, Jan z pewnością dodawał natychmiast: „Tak jest, czarne, jak węgiel!“ — Jan był wstrzemięźliwym, zacnym i pracowitym — Małgorzata pobożną, rozsądną i gospodarną. Są to wielkie cnoty, przy których małe niedoskonałości niknąć muszą. Jeśli ma się głowę i serce na swojem miejscu i kocha się prawdziwie, wtedy w małżeństwie nie trzeba robić słonia z komara — myślała poczciwa kobiecina i postępowała wedle tej zasady.

W pierwszym roku pobrania się, po żniwach, Jan chciał sprzedać jednego konia z pary i w tym celu wyprowadził go na jarmark do poblizkiego miasta.

Pierwszy raz w życiu robił podobny interes, co zaraz poznali trzej oszuści i zmówili się, aby po *oskubać*.

Jeden z nich bezzwłocznie przystąpił do niego, a dowiedziawszy się o cenie, zawołał:

— Za wiele żądacie, gospodarzu, za dziesięcioletnią szkapę, mającą skłonność do sputu, ale, żeby się nie targować, dam wam tę oto śliczną krowę, która między braćmi jest więcej warta, niż wasz stary koń.

Krowa podobała się Janowi i wziął ją.

Wtedy przyszedł drugi oszust, mówiąc:

— Jakże wy przezimujecie tę krowę przy takiej drogiej paszy, będzie was to zbyt wiele kosztowało. Ja tu mam opasłego wieprza; możecie go zaraz zabić, a mięso i słonina wystarczą wam na rok cały, zatrzymacie przytem paszę swoję. Dam wam tego wieprza za krowę.

Jan rozważył, iż rzeczywiście paszy ma niewiele i przystał na zamianę.

Teraz trzeci oszust wysunął się na scenę i rzekł:

— Trudno wam będzie dowieźć tego, odpadkami wykarmionego wieprza, w taki czas do domu — zginie na drodze. Z pewnością też jest węgrowaty, choćbyście go dowieźli, zabronią wam jeść i sprzedawać mięso z niego. Mam kozę, która tyle mleka daje, co krowa, a gdy mieć będzie małe, usmarzycie sobie zeń wyborną pieczeń, a skórę sprzedacie u rękawicznika. Wezmę waszego wieprza za kozę.

Jan nie dbał o pieczeń wieprzową ani o kiełbasy, przenosił nad nie kluski kartoflane z suszonym owocem, zgodził się więc na propozycyą.

Tymczasem pierwszy oszust kazał się ogolić, wdział inny kapelusz i całkiem inaczej wyglądając, niż rano, zbliżył się znowu do Jana.

— Kozina nie każdemu smakuje — rzekł — a takie uparte zwierzę nie zawsze da mleka jednakowo. Mam tu gęś utuczoną. Można z niej mieć pyszną pieczeń na chrzciny, smalec na całą zimę do kartofli, a pierze na poduszeczkę dla dziecka. Zamienię wam kozę na gęś, a że zyskacie na tem, to jasne, jak słońce.

Słowa: „chrzciny, poduszeczka dla dziecka!“... słodko zabrzmiały w uszach Janowi, chętnie więc gęś pochwycił.

Ale przyszedł drugi oszust, również przebrany do niepoznania, i zagaił:

— Gęś się zje i nic z niej nie ma, przytem gęsina niezdrowa, dla tego wolałbym na waszem miejscu kurę, jak ta tu moja. Przez cały rok codziennie niesie jajka, a w końcu ugotowana z ryżem daje paradną zupę i potrawę. Wymienię swoję kurę kochińchińską na waszę gęś. Jest to przecie widoczna dla was korzyść, całe podwórze zapełni wam się ślicznemi kurczątkami!

Jan pomyślał, że istotnie lepiej posiadać kochińchińską kwoczkę zamiast tuczonej gęsi i dobił targu.

Tymczasem przyszła obiadowa godzina. Jan, sądząc, iż za konia dostanie poważną sumkę, nie zabrał z sobą do miasta ani grosza, a po długim marszu i ciągłym targu uczuł apetyt, którego, niestety! nie miał czem zaspokoić.

Spostrzegli to oszuści i trzeci z rzędu, przeobrażony zupełnie, jak dwaj koledzy, przystąpił do niego, mówiąc:

— Teraz trzeba nam coś „przetrącić!“ Chodźcie, pokażę wam gospodę, gdzie jadają moi znajomi.

Jan wszelako odpowiedział otwarcie:

— Nie jeść nie mogę; nie wziąłem z sobą pieniędzy.

— O! głodnym nie możecie wracać do domu. Jesteście zamożnym człowiekiem, poradzę wam! Oddacie mi swoję kurę, a ja wam zapłacę cztery jaja i szklankę piwa! zgoda?

Jan był znużony i głodny, w milczeniu więc oddał kwokę.

Gdy siedzieli przy stole, pierwszy oszust, który jeszcze raz się przebrał i wyglądał na pana, nie mógł wytrzymać i rzekł:

— Dziś przed południem widziałem przypadkiem wasz sposób prowadzenia interesów, i muszę wyznać szczerze, że nie chciałbym być w skórze waszej, gdy wrócicie do domu i wszystko opowiecie żonie.

— Jak to? spytał Jan dobrodusznie.

— Hm! myślę, że nie będzie zadowoloną, brzmiała odpowiedź, i nastąpi straszna burza.

— Moja żona, odparł Jan spokojnie i stanowczo, z wszystkiego, co zrobię, zawsze zadowolona, zatem i teraz nią będzie.

— I nie wyłaje was? zapytał drugi.

— Boże, uchowaj! odpowiedział Jan trochę porywczo, nie powie mi marnego słówka; założę się, o co chcecie.

Oszuści poszeptali ze sobą, zrozumiawszy, że od Jana mogliby jeszcze więcej uzyskać, poczem jeden z nich prowadził dalej rozpoczętą rozmowę.

— W mowie waszej przebija wiele chełpliwości, kochany przyjacielu, ponieważ jednak chcecie się założyć, przyjmujemy zakład z korzyścią dla was niemałą. I tak, gdy żona was wyłaje, dacie nam tylko srebrne guziki od kaftana i srebrne sprzączki od trzewików, w przeciwnym razie każdy z nas złoży pięćdziesiąt talarów, ale pójdziemy z wami, żeby się naocznie przekonać.

Jan wesoło i spokojnie przyjął zakład, a oszust prawił dalej!

— Chodzi tu o 150 talarów z naszej strony, dla tego całą sprawę musimy spisać przy notaryuszu, ażeby żona wasza, gdy zakład przegracie, nie wzbroniła nam oddać guzików i sprzączek.

— Owszem, rzekł Jan, i poszli do notaryusza.

Wszelako notaryusz przejrzał oszustów. Kazał złożyć im 150 talarów, a pod pozorem, iż Jan może zatrzymać guziki, oświadczył się z gotowością zbadania rzeczy na miejscu. Uradzono, że Jan przedstawi żonie czterech swych towarzyszy, jako cudzoziemców, którzy, acz nie rozumieją ani słowa z mowy krajowej, chcieliby trochę wypocząć w ciepłej izbie. W ten sposób usłyszą rozmowę Jana z żoną, nie wpływając wcale na jej kierunek.

Gdy wykonano wszystko podług umowy, rzekła Małgorzata do męża:

— Schowałam dla ciebie kluski kartoflane ze śliwkami, jedz pierwej, potem mi opowiesz, jak ci się powiodło.

Ale Jan odpowiedział:

— Nie jestem głodny, mogę zaraz opowiedzieć i zaczął od pierwszej zamiany konia na krowę.

Małgorzata odparła: — Dobrze zrobiłeś, piękna krowa w samej rzeczy więcej warta, niż koń niemłody ze skłonnością do szputu, jak twierdził kupiec.

— Tak jest, mówił Jan, ale przyszedł inny i przedstawił, że przy takiej drogiej paszy wiele kosztować będzie zimowanie krowy, dał mi za nią tłustego wieprza, co też przyjąłem.

— To prawda, zauważyła Małgorzata, pasza bardzo droga w tym roku, możemy ją dobrze spieniężyć, a wypasiony wieprz prawie nic nie je.

— Zapewne, lecz kupiec drugi mi mówił, że będę miał wieką trudność z przewiezieniem wieprza, a pytanie jeszcze, czy nie ma węgrów, i zaproponował mi kozę w wymianie, co mi się dosyć podobało.

— Rozumiem to doskonale, odparła Małgorzata, byłbyś się strasznie zmęczył z transportem opasłego zwierzęcia, wolę zatem kozę, niż wieprza. Tłuste mięso nie dla każdego dobre, i to słusznie.

— Tak jest, jednak inny znów sądził, że kozina nie każdemu smakuje, a i na mleko nie zawsze liczyć można, dla tego chciał mi dać gęś tuczoną za kozę. Pomyślałem, że z wielu względów gęś pożyteczniejsza od kozy i przystałem na nową zamianę.

— Oczywiście, rzekła Małgorzata, z gęsi można wszystko użyć, mięso, smalec, pióra do pisania i pierze na poduszki, masz zupełną słuszność, gęś jest pożytecznem zwierzęciem.

— Niby tak, tylko, że przyszedł jakiś nowy kupiec, opowiadał Jan dalej, który rzekł: Gęś zje się i nic z niej nie zostanie, podczas kiedy kura każdego dnia jajko zniesie, a wreszcie gdy już jaj nie składa, można mieć z niej posilny obiad. Ofiarował mi za gęś kochińchińską kurę, a ja zgodziłem się na to.

— Tak samo byłabym zrobiła, przerwała Małgorzata; kura kochińchińska paradnie wygląda na podwórzu

— Tymczasem przyszło południe, kończył Jan, byłem głodny, a ponieważ nie wziąłem z sobą pieniędzy, jeden z kupców oświadczył, że, jeśli odstąpię mu kurę, każe mi dać cztery jaja i szklankę piwa Byłem tak znużony i głodny, że udałem się z nim do gospody.

— Otoż to mnie cieszy! prawdziwy kamień zdjąłeś mi z serca, zawołała radośnie Małgorzata. Chciałam cię już kilka razy zapytać, czy też posiliłeś się czem po tak długim targu; a gdy po południu burza się zerwała, ciągle wyglądałam twego powrotu. Jak to dobrze, że jesteś już w domu. Ale skoro nie chcesz jeść klusek kartoflanych, ani śliwek, pewnie ci daleka droga zaszkodziła, przeziębiłeś się może, zdejm więc szybko buty, obuj ciepłe trzewiki, albo, co będzie najlepiej, połóż się zaraz do łóżka.

Byłaby więcej jeszcze troskliwości okazała uprzejma i zgodna żonka, lecz notaryusz szybko przybliżył się do stołu i oświadczył z powagą:

— Widzicie sami, panowie Żółkiewicz, Szarzewicz, Czerniewicz, żeście nieodwołalnie zakład przegrali, i wręczył Janowi 150 talarów. Gospodyni domu zaś podając rękę, rzekł: — Obym kiedyś mógł znaleźć podobną wam, Małgorzato, żonę! Gdy zdziwiona kobiecina dowiedziała się o zakładzie i całym przebiegu sprawy, rzekła z urazą:

— Że też to ludzie mogli przypuszczać, iż ja mogę swego pracowitego, poczciwego męża choć jednem słowem zmartwić! Pieniądze, jakie koń wart był, pracowitością i oszczędnością można odzyskać znowu, ale gdy spokój i miłość w małżeństwie naruszą się i znikną, oj! to nieszczęście i złe, które niełatwo naprawić! Poświadczą to ci panowie z własnego doświadczenia.

Trzej oszuści odeszli, milcząc, z nieukontentowaniem do Ksantyp swoich, które w domowej wojnie miały zawsze przewagę.

Obecnie pani Małgorzata sprzedaż koni powierza już swemu rozważnemu, dobrze wychowanemu synowi, który, acz młody, lepiej zna świat i ludzi, niż niegdyś jego poczciwy i dobroduszny ojciec.

TEATR.

Z nietajoną przyjemnością uiszczam się dzisiaj z obowiązku sprawozdawcy benefisowego przedstawienia powszechnie lubionej i wysoko cenionej artystki, p. Aleksandry Trapszowej, która wyborem sztuki p. t. „Pospolite ruszenie“ pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego dała sposobność szerszej publiczności poznać nową tę i niezaprzeczenie wyborną farsę.

W małem miasteczku Galicyi mieszkają zacni pp. Pietrusińscy, których niebo obdarzyło dosyć licznem — jak na niezamożnych ludzi — potomstwem; trzy bowiem panny

królują w skromnem mieszkanku, a dwie z nich, Marya i Wanda, trzydziestej dobiegają wiosny, żadnych kandydatów na mężów — oprócz dwóch starych kawalerów, Alojzego i Bronisława — nie spotkawszy na drodze życia. Ponieważ jednakże podobno każdemu choć raz w życiu szczęście się uśmiechnie, to też zdarzyło się, że na jakimś balu czy wieczorze dwóch młodzieńców, Maryan i Stefan, spojrzawszy na dojrzałe dziewice przez pryzmat ożywczego nektaru, oświadczyli się razem o ich rączki i naturalnie z wdzięcznem uczuciem przyjęci zostali. — Lecz po śnie pięknym przykre nazajutrz nastąpiło przebudzenie! . . .

Cofnąć się niepodobna, bo oto moralny wyrzut w osobie starego Pietrusińskiego przypomina dane przyrzeczenie. — Lekkomyślni młodzieńcy, widząc się rzeczywiście zagrożonymi, z wielką radością przyjmują wieść o pospolitem ruszeniu, powołującem wszystkich reprezentantów płci brzydkiej aż do lat 42 pod broń. Sądzą, że tym sposobem unikną słodkich węzłów małżeńskich! Nieszczęście jednakże ściga ich widocznie na każdym kroku — pospolite ruszenie odwołane i radzi nieradzi zobowiązaniom swym zadosyćuczynić muszą. Maryan — trzymając się zasady, że z dwojga złego zawsze mniejsze wybrać należy — oświadcza się po raz drugi nie o rękę Maryi, ale młodziuchnej Karolci, trzeciej córki pp. Pietrusińskich, Stefanowi zaś po bliższem poznaniu łatwiej zakochać się w praktycznej Wandzi, przystojnej jeszcze blondynce.

Pod względem gry dzierżyli berło tego wieczora pp. T r a p s z o w i e w roli pp. Pietrusińskich; uniknąwszy bowiem szarży, umiejętnie wyzyskali wszelkie komiczne sytuacye, krasząc je wrodzonym sobie dowcipem i godnym zazdrości humorem, okok znakomitej rutyny scenicznej. — Również sympatyczne były postacie trzech córek, Maryi (p. P a n k i e w i c z), Wandy (p. M o r s k a) i Karolci (p. C z a p l i ń s k a). — Pp. J a n o w s k i i W o j d e z humorym i życiem przedstawili typy rozbawionych letkiewiczów, Maryana i Stefana, zarzucićbyśmy chyba mogli ostatniemu zbytnią dozę sentymentalności w chwilach czysto komicznych. — Pp. J a k u b o w s k i, jako kapitan wojsk włoskich Bronisław, i P o p ł a w s k i, jako prezes Alojzy, wywiązali się starannie ze swego zadania, co również o p S t a s z e w s k i m w roli rozpieszczonego, nieznośnego wyrostka Stanisława powiedzieć możemy. — Przewybornym typem młodej kawiarki Józi była p. B e l i n a; gra jej tryskała werwą, życiem i swobodą.

W sobotę, dnia 15 grudnia, przedstawiono po raz pierwszy czteroaktową komedyą Z y g m u n t a P r z y b y l s k i e g o: „Dwór w Władkowicach.“

Treść jej jest następująca:

Dwór w Władkowicach, należący do Rudowieckich, przeszedł w ręce Bąbeckich, dorobkiewiczów, którzy, zbogaciwszy się na fabrykacyi czokolady, zapragnęli zamieszkać pańską rezydencyą. Młody Henryk Rudowiecki, były dziedzic Władkowic, pracuje, jako rządzca u Bąbeckich, gdzie zaskarbił sobie łaski i serce córki ich Julki. Miłość ta usposabia Julkę do najlepszych chęci względem Rudowieckich, ona to przeszkadza zupełnej ich zagładzie majątkowej i sprawia, że ojciec decyduje się oddać swą jedynaczkę panu rządzcy. Wanda Rudowiecka, siostra Henryka, odrzuca rękę bogatego Dorskiego li tylko z tej przyczyny, że go kochać nie może.

Wybitne role tej komedyi przypadły w udziale pani C z a p l i ń s k i e j i panom T r a p s z o i J a n o w s k i e m u.

Rolę pani Rudowieckiej, poważnej i sympatycznej matrony odegrała poprawnie i staranie pani K r ó l i k o w s k a.

P. P a n k i e w i c z ó w n a, jako jej córka Wanda, wlała w kreacyą swą wiele szczerego, serdecznego uczucia, uwydatniającego się mianowicie wśród dziecięcych pieszczot z ukochaną matką, której plany swoje wypowiada. Mniej udatną była scena, w której Wanda Rudowiecka miała zwierzyć swe zmartwienia i troski Dorskiemu. Przestrach i pomieszanie Wandy — zbyt sztuczne i nienaturalne — z mozołem, zdawałoby się, zostały wystudyowane.

Henryka Rudowieckiego przedstawił nader sympatycznie p. J a n o w s k i. Wprawdzie nieco zbyt nagłą miłością zapłonął ku Julce Bąbeckiej, ale to już wina autora, a nie artysty.

Pani C z a p l i ń s k a rolę młodziutkiej, naiwnej Julki Bąbeckiej, odegrała śmiało, z pewną dozą kokieteryi i podbiła nietylko serce Henryka, ale i całego, wielce zadowolonego audytoryum, które też swe zachwyty uwydatniło w grzmiących oklaskach.

Pan T r a p s z o, jako stary Bąbecki, dla zacności i prawości charakteru wskroś sympatyczna postać, oddał rolę swą, jak przystało na wytrawnego artystę, z całem przejęciem się i zrozumieniem, a niezawodnie w myśl autora.

Pani Aniela Bąbecka była, dzięki pani S i e d l e c k i e j, w całem znaczeniu tego wyrazu uosobieniem mieszczki, obrażającej się o lada drobnostkę, a przekonanej, że majątkiem można imponować całemu światu.

W narzeczonym Julii przedstawił autor typ niesmacznie ograniczonego młodzieńca, który na rozkaz rezygnuje z miłości i na rozkaz gotów jest żenić się z każdą, jaką mu narzeczona przeznaczy, kobietą. Zdaje się, że kocha jedynie, bo mu kochać każą, przestaje kochać, bo uznano to za zbyteczne. Jakbądź, rolę Tintowskiego starannie wystudyował i umiejętnie oddał p. W o y d e.

Sztuce samej zarzucićby można zbytnią rozwlekłość; niektóre sceny są zupełnie niepotrzebne. Nie pojmujemy np., w jakim celu umieścił tu autor scenę pijaństwa. Miałaby ona jeszcze jakąś racyą bytu, gdyby podchmielony był zdradził zamiar, w jakim przybył do Rudowieckich, ale panie z tej plątaniny słów niedorzecznych niczego się nie domyśliły, i dopiero Julka rzecz całą wyjaśniła. Scena ta więc, tylko na efekt — jak się zdaje — obmyślona, zupełnie chybiła celu, budząc niesmak w miejsce podziwu.

„Dwór w Władkowicach“ — mimo niektórych stron ujemnych — podobał się jednak; może więc raz po raz ukazać się na scenie, pewien zawsze sympatycznego przyjęcia.

St.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Trzy nowe pisma polskie, polityczne powstają od Nowego-roku w przestrzeni zaboru pruskiego; i tak w grodzie naszym: „Gazeta poznańska,“ której wydawcy głoszą w prospekcie między innemi, że nowe pismo: „nie będzie nigdy widownią zatargów osobistych; podając pokarm zdrowy, godzący wszystkie stany, wytężać będzie wszystkie siły ku temu, ażeby przypominać im skuteczne środki obrony przed naporem wrogich nam żywiołów i podawać praktyczne rady i sposoby utrzymania w zdrowiu i czerstwości polskiego społeczeństwa.“ Zpośród t r z y n a s t u podpisanych wydawców i redaktorów „Gazety poznańskiej“ czterech zamieszkuje prowincyą, dziewięciu Poznań.

Nadto wychodzić będzie dwa razy tygodniowo, w środę i w sobotę, w Inowrocławiu: „Głos kujawski“ pod redakcyą p. I. Nowakowskiego i wreszcie w Hucie królewskiej także dwa razy tygodniowo: „Głos ludu górnoślązkiego“ pod redakcyą p. Koraszewskiego.

Nowym tym szermierzom swobód naszych i świętości przesełamy serdeczne: Szczęść, Boże!

W zeszłą niedzielę za staraniem szanownej dyrekcyi „Towarzystwa pomocy naukowéj dla dziewcząt“ odbyło się w Bazarze przedstawienie amatorskie na korzyść tegoż „Towarzystwa.“ Odegrano odpowiednio wybrane dwie jednoaktowe komedye: „Ciężka próba“ i „Po kweście,“ a jak na

amatorów, odegrano je świetnie! Panna A. M. w roli starej ochmistrzyni szarżowała wprawdzie, mianowicie pod względem ucharakteryzowania się i mimiki, bo podobnie ośmieszonego typu starej panny nie znalazłoby się już pewnie pod koniec XIX wieku, ale w każdym razie dowiodła — występując w tak niekorzystnej dla swej zewnętrzności roli — poświęcenia, braku pretensyi i wszechstronnego dramatycznego talentu; dotąd bowiem podziwialiśmy ją zwykle, jako amatorkę-artystkę, w rolach naiwnych. Z dystynkcyą i salonową elegancyą oddali swe role: pani M. i pan T. B. Ostatni przytem tyle okazał w grze swej naturalności, swobody i rutyny scenicznej, iż zdawało się chwilami, że mamy przed sobą artystę z zawodu. Z amatorów koncertowych pan J a h n k e poprawnie i umiejętnie odegrał „Cavatinę“ R a f f a i „Mazurka“ Kadlera, a p. C z a r l i ń s k a prawdziwie oczarowała całe audytoryum swym dźwięcznym, świeżym, wyrobionym głosem i tą pełnią uczucia, co unosi duszę i porywa serca, a którego tyle wlała w „Serenadę“ B r a g i, w prześliczne „Kocham cię“ D e n z a i w owe dwie, łaskawie do programu dodane, wesołe, szczero-polskie piosenki: „Panicz i dziewczyna“ i „Dziewczę lube.“ Przedstawienie zakończył żywy obraz, w którym trzy urocze postacie niewieście i starzec siwowłosy przedstawili alegoryą „Miłosierdzia“.

Licznie zebrana, doborowa, z obywatelstwa wiejskiego i inteligencyi miejscowej złożona publiczność frenetycznemi oklaskami wyrażała szanownym amatorkom i amatorom swe zadowolenie i wdzięczność za mile spędzony wieczór.

W Warszawie powstało nowe pismo codzienne p. t. „Ziarno,“ którego okazowy numer zawiera „Słowo wstępne“ od redakcyi, w którem wydawca oświadcza, że „Ziarno ma być tanim dziennikiem p o l i t y c z n o-s p o ł e c z n y m, przeznaczonym dla szerokich kół czytelników. „Ziarno“ na zamiar „szanować rozumny postęp i wszelkie zdobycze ducha ludzkiego, otaczając czcią przeszłość i tradycyą, gromadząc najwięcej danych o wewnętrznym stanie naszego społeczeństwa, a zawsze doszukiwać się bijących tętn ruchu, idei i przemiany pojęć ogółu“.

Portret artystki naszej, p. Anny Bilińskiej, kilkakrotnie nagradzany medalem, znajduje się obecnie na wystawie w Monachium. Pewien sprawozdawca niemiecki, wyliczając malarzy, którzy najświetniej przedstawiają sztukę f r a n c u z k ą, wymienia między innymi p. Bilińską.

Salony krakowskiego „Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych,“ zapełnione wielką obfitością nowych obrazów i rzeźb, ściągają — jak donoszą korespondenci różnych czasopism — liczne tłumy. Między innymi wystawił m i s t r z M a t e j k o nowy, niewielkich rozmiarów obraz, przedstawiający Piotra Dunina, wprowadzającego zakon Cystersów do Polski. Utwor ten nie wywarł, jak poprzednie, silniejszego wrażenia — krytyka miejscowa pominęła go milczeniem, lub zbyła ogólnikowemi wzmiankami. Natomiast wiele zajęcia obudziły wśród nowości tegorocznych nagrodzone na konkursie szkoły sztuk pięknych obrazy Bergmanna: „Stanisław Oświęcim przy zwłokach siostry“ i W o d z i n o w s k i e g o: „Odczynianie uroków u owczarza.“ W pierwszym prostota układu, umiejętna charakterystyka figur i siła kolorytu, w drugim przede wszystkiem poprawny rysunek zwracają uwagę znawców i krytyków. — Ogólne uznanie zdobył sobie również obraz młodego artysty, p. K. D a m a z e g o: „Przy miodku,“ przedstawiający charakterystyczną rodzajową scenę picia miodu w pewnej kawiarni krakowskiej; dalej p. P r u s z k o w s k i e g o: „Dziewica na różach“ i „Unitka“ zalecają się układem pełnym fantazyi i artystycznego polotu. Wreszcie do lepszych kompozycyi na tegorocznej krakowskiej wystawie zaliczają: „Kościuszkę w Solothurn“ p. S t a s i a k a, „Kwiaciarkę“ p. K r a j e w s k i e g o, akwarele F a ł a t a, „Biust kobiety“ L e w a n d o w s k i e g o i kilka innych. — Powszechny żal po zbyt wcześnie dla sztuki zgasłym pracowniku budziła wystawa prac św. p. S t a n i s ł a w a R o z t w o r o w s k i e g o w salach „Muzeum narodowego.“ Wystawione utwory zmarłego artysty świadczyły o znakomitym jego talencie, rozwijającym się stopniowo a szybko, o prawdziwem natchnieniu i wyobraźni pełnej twórczych i głębokich pomysłów. Utrzymują znawcy, że ostatnia, niedokończona praca młodego artysty: „Mojżesz,“ byłaby niezawodnie postawiła św. p. Stanisława w gronie pierwszorzędnych naszych kompozytorów-malarzy.

Graną i na naszej scenie niedawno „Lenę“ surowo osądzili sprawozdawcy krakowskiego teatru, zarzucając utworowi p. J a s i e ń c z y k a niezdrowy temat, błędną budowę i nadmiar melodramatycznych efektów.

OD REDAKCYI.

Dzisiajszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale i kończy zarazem **pierwszy rocznik** „Domu polskiego.“ Wiernych pismu naszemu przyjaciół i zwolenników serdecznie i usilnie prosimy, aby je nietylko sami nadal raczyli popierać prenumeratą, ale także w gronie swych krewnych i znajomych jednali mu nowych zwolenników i przedpłacicieli i tym sposobem nietylko zapewnili dalszą „Domowi polskiemu“ exystencyą, ale i **rozwój** pod względem treści, obfitości i rozmaitości artykułów i korespondencyi, czego tak gorąco pragniemy, o co z całą usilnością się staramy, a czego jednakże — mimo wszelkich ze strony redakcyi wysileń — bez poparcia ogółu osięgnąć nie zdołamy.

Zanosimy również uprzejmą prośbę do tych z szanownych zamiejscowych przedpłacicieli naszych, którym pod opaską numera wysełamy, a którzy dotąd z c a ł o - p ó ł r o c z n ą, lub k w a r t a l n ą zalegli prenumeratą, aby zechcieli łaskawie **przed 1 stycznia** nadesłać ją do redakcyi, ponieważ także **na pierwszego p. m.** zobowiązani jesteśmy uregulować wszelkie, pisma naszego dotyczące rachunki.

Szanownych przedpłacicieli, zapisujących „Dom polski“ na poczcie, upraszamy **o wczesne odnowienie** prenumeraty, aby w skutek opóźnienia nie nastąpiły zwykłe niedokładności i nieporządki w przesełce.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.

SPIS RZECZY
zawartych w „Domu polskim"
od 1 stycznia 1888 r. do 1 stycznia 1889 r.

Artykuły wstępne.

Poezye.

Powieści, nowele i dramata.

Życiorysy, wspomnienia historyczne, literackie i artystyczne.

Korespondencye.

Kronika literacka, artystyczna i drobne wiadomości.

Z hygieny.

Rozmaitości.

Nekrologi.

Oprócz tego znajdują się prawie w każdym numerze drobniejsze wiadomości literackie, artystyczne, rozmaitości, także sprawozdania z przedstawień dramatycznych.